

# DZIEŁA ZEBRANE

## TOM III

Pod redakcją Macieja Urbanowskiego



JUBILEUSZ  
PAŃSTWOWEGO  
INSTYTUTU  
WYDAWNICZEGO  
1946-2021

75

# STANISŁAW REMBEK

W polu  
Opowieść

Państwowy Instytut Wydawniczy

*Marysieńce*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Żona pisarza, Maria Rembek, z domu Dalewska primo voto Dehnel.

– Wszystko mi tu łamkie, kruche,  
Gdzie obróćę dłoń, ruina.  
Wieżą wiatry na posuchę,  
Na posuchę iłknie ślina.  
We mnie, w świecie, grób: dwa słowa!  
Umiem trzecie...

Grabarzowa  
Dłoń żelazem je dokończy.

NORWID<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Z wiersza C.K. Norwida, *To rzecz ludzka!...*, napisanego w roku 1844 w Pompejach. Zapis za wydaniem: *Cypryana Norwida pisma zebrane*, t. A. *Pism wierszem dział pierwszy*, cz. 1, red. Z. Przesmycki, Warszawa-Kraków 1911.

# Po śmierci kaprała Górnego

## I

Rzeczywiście wszystkie nieszczęścia 7 Kompanii rozpoczęły się wraz z dniem, w którym zginął kapral Górny.

Zdaje się istnieć pomiędzy pewnymi wypadkami niedostępny dla ludzkiej logiki związek, jak gdyby świat stanowił jednolity mechanizm, gdzie poruszenie najdrobniejszej nawet cząstki może spowodować nieoczekiwaną reakcję całości. Te same sprzęgła, które łączą katastrofę kolejową z rozkręconą śrubą w szynie, zdają się łączyć z nią także zająca, przekakującego tor przed pędzącym ku zagładzie pociągiem.

Każdy żeglarz, każdy lotnik, każdy górnik, kolejarz, strażak czy żołnierz: wszyscy ludzie zbratani z wodą, powietrzem, ziemią, ogniem i zwierzęcym instynktem walki, żywiołami, które składają się na całokształt naszego bytu, będą zawsze uważali za rzecz dowiedzioną, że najbardziej błahy postępek, ba! nieostrożne, „w złą godzinę” powiedziane słowo w tym niedocieczonym splocie przypadków, jaki stanowi ich żywot, ma tajemną moc decydowania o powodzeniu ich poczynań, a nawet o istnieniu ich cielesnej powłoki. Nie ma argumentów, aby im wytłumaczyć, że trzeci papieros, zapalony tą samą zapalką, nie może wpływać na kierunek pociągu, a zdjęcie fotograficzne na sprawność silnika samolotu.

Bo wiara to zawsze co innego niż wiedza, a myśl – niż doświadczenie.

Także i w tym wypadku żaden mędrzec nie zdołałby wykryć rozumnego związku między śmiercią Górnego a niepowodzeniami, które niedługo potem zaczęły nękać oddział.

Bo przede wszystkim dzisiaj można to już stwierdzić bezstronnie i stanowczo, że zmarły kapral bynajmniej nie odgrywał w kompanii jakiejś wybitnej roli. W żadnym wypadku za życia nie przejawiał tych zdolności bojowych i organizacyjnych, jakie później dopiero zaczęto mu przypisywać. Nigdy też żadne jego dążenia, namiętności czy wpływy nie zaważyły na losach oddziału. Mało tego. Nikt z tych wszystkich, którzy tak chętny brali udział w rzewnych wspominkach nieboszczyka, nie interesował się nim przed jego śmiercią.

Bo Górny żył, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Najlepszym tego dowodem, że nikt później nie mógł sobie przypomnieć, kiedy się pojawił w kompanii. To pewna, że już w łódzkich koszarach ukazywała się na apelach i zbiórkach jego wielka postać o spokojnych, miękkich ruchach słońca, o okrągłej, jasnej i świeżej jak brzoskwinia twarzy i o błękitnych, roztargnionych oczach rozbudzonego w pogodny ranek dziecka.

Przychodził zawsze ostatni i stawał w szeregu podoficerów w swej nieco za małej maciejówce, spod której wydobywały mu się na czoło białe proste kosmyki nigdy nieuczesanych włosów, w swej zielonej kurtce „wehrmachtowej”<sup>1</sup> z szerokim na pośladku rozporkiem i w olbrzymich jak rury od pieca, a wysokich poza kolana brązowych butach. Były

<sup>1</sup> Mowa o kurtce noszonej przez żołnierzy Polskiej Siły Zbrojnej (niem. *Polnische Wehrmacht*), utworzonej w Królestwie Polskim powstałym w 1917 na mocy Aktu 5 Listopada 1916 roku.

one zawsze tak starannie wyczyszczone, że wyglądały jak nowe: jedynie kształt ich tudzież ciemne plamy, przebijające gdzieniegdzie na przyszwach<sup>1</sup>, świadczyły najwyraźniej o ich pochodzeniu jeszcze od pruskich huzarów śmierci.

Nigdy nikomu ze zwierzchników nie przyszło do głowy zwrócić mu uwagę, badać go czy karać: żadne rozmowy z nim nie wykraczały poza szablony raportów czy meldunków wojskowych. Może dlatego, że odznaczał się niezwykle spokojem i milkliwością, a ludzie milczący mają zdolność budzenia szacunku dla swej indywidualności.

Jeszcze jedną jego cechą była niezmierna łagodność.

Na tym rysie jego charakteru najprędzej i najlepiej poznali się rekruci. Karne ćwiczenia pod nim były po prostu miłą przechadzką przy księżycu. Gdy dozorował zamiatania podwórza czy ulicy przed koszarami, czyszczenia ustępów, szorowania podłóg czy schodów, każdy mógł się wymówić od pracy, tak że w końcu kapral zostawał z tymi tylko, którzy byli za głupi, żeby się „kierować”, lub których onieśmiewała – co się często zdarza – delikatność podoficera.

Ponieważ przełożeni również się na nim pod tym względem poznali, nie wyznaczano go więcej do takich zadań, które z natury swojej wymagały energii i nieugiętości. W koszarach więc pełnił obowiązki drużynowego i komendanta sali. Wywiązywał się z nich nadspodziewanie dobrze. Nigdy w powierzonej mu drużynie nie było kłótni przy „fasunku” porcji mięsnych, chleba, papierosów, płaszczy, mydła, czy nawet przysyłanych później na front podarunków świątecznych w postaci ciepłej bielizny, nauszników, kominiarek i kozuchów. Jego dobrotliwie schylona, gładka i promienna twarz, nieco przymrużone, długie, dziecinne rzęsy

1 Przyszwa – część cholewki obuwia przyszyta do podeszwy, zakrywająca stopę.

i nieśmiały, cichy ton głosu miały dar uspokajania najbardziej wzburzonych umysłów. Twarz ta nigdy nie zmieniała swojego wyrazu, oczy tylko różowiały niekiedy od napływających łez. Zdarzało się to wtedy, gdy kaprał zakładał binokle, zakładał je zaś zawsze, gdy grał na skrzypcach. Dlaczego? – trudno dociec, bo grywał bez nut, „ze słuchu”.

Były to oklepane melodie starych piosenek włoskich, ociekające łzami „romanse cygańskie” lub pretensjonalne kompozycje kabaretowe.

Początkowo żołnierze sarkali nieco na ten sentymentalny repertuar. Nieraz odzywały się głosy: „Panie kaprał, teraz coś wesołego!” – ale Górny nie zważał na to.

Siedział na najwyższym piętrze drewnianych pryczy, tuż koło słabej, wkręconej w sufit żarówki. Jego olbrzymie buty lub grube skarpety szeroko zwisały nad głowami towarzyszy, krzątających się w nieustannym piekle rozkazów, klątw i klótni. Opuszczona wskutek bliskości pułapu głowa spoglądała w głęboką ulicę między rusztowaniami legowisk z tępą pobłażliwością różowo posiatkowanych oczu, wytrzeszczonych nad opuszczonymi na sam koniec nosa binoklami. Ścisnąca szyjkę skrzypiec lewa ręka wiła się nad ostrzyżonymi czaszkami niby łeb węża-dusiciela nad gromadą małą, igrających w podzwrotnikowym lesie. Trzęsła się przy tym jak dłoń mądrego a bezlitosnego proroka, miotającego klątwy na padół głupoty i zbrodni.

Wkrótce przyzwyczajono się nie zwracać na to wszystko uwagi i drgające tony wypełniały stale „rejon” kompanii, niezauważalne jak promienie słońca, przesuwające się codziennie po natłoczonych salach równymi blokami, wypełnionymi przez nieruchome kolumny drobniotkich zawieszin.

To samo było później w pociągach, na kwaterach, a nawet w okopach. Górny bowiem wszędzie woził ze sobą swe skrzypce.



Wędrowały one w czarnej, podobnej do trumienki, skrzynce na wozie kancelaryjnym po zielonych rozdołach podolskich, po kolorowych pagórkach Wołynia, po szarych ugorach i chruśniakach białoruskich – wszędzie, gdzie prowadził bojowy szlak kompanii. Pomimo licznych zakazów utrzymywania w taborze kompanijnym zbytecznych przedmiotów, nikt ze zwierzchników nie zdobył się na to, żeby wystąpić przeciw tej samowoli. Po prostu na podstawie jakiegoś milczącego porozumienia pozostawiono cichego kaprała na uboczu całego życia oddziału.

Tak podczas wyrębu lasu zostawiają drwale na rumowisku sędziwe i zmurszałe drzewo, na którym ktoś z nieznanych już nikomu powodów zawiesił maleńką kapliczkę.

## II

Przy takim do Górnego ustosunkowaniu się starszyny był to zaiste szczególny wypadek, że zastępujący chwilowo dowódcę kompanii podporucznik Paprosiński wysłał go na patrol. Co prawda zadanie nie było zbyt poważne, a miało za osłonę bezksiężycową noc czerwcową, która zdawała się zapewniać wyprawie całkowite bezpieczeństwo.

Tego właśnie wieczoru kompania zajęła odcinek nad rzeką Autą między wioskami Śmigalszczyzną i Chachulkami. Patrol miał za zadanie ubezpieczenie tego ruchu.

Okopy były nader pierwotne. Przedstawiały one jakby rozkopane kretowisko sięgające pasa rosłego człowieka, pełne bezładnych załamów, dołów i usypisk wywalonego piachu, suchej ziemi leśnej i białych kamieni polnych. Zwisające u ścian rowów kłaki korzeni drzew, które w tym miejscu porastały pagórek, upodabniały je do długiej rany wyszarpanej na zielonej sierści ziemi.